Rok 18[illegible]4. We Lwowie, Poniedziałek dnia 27 lipca Nr. 29

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO"

pod redakcją *Stanisława Rossowskiego.*

Indyjska mądrość.

(Ciąg dalszy).

Wiswamitra, przyszedłszy do przekonania, że w bramanizmie zawiera się największa siła, postanowił osiągnąć w nim zupełną doskonałość i w tym celu spełniał czyny szlachetne w przeciągu tysiąca lat, doskonaląc się nieustannie. Bogi, którym niezawsze była lekką walka z człowiekiem energicznym, nie wiedzieli już co robić z Waswamitrą — nie ulegał on bowiem żadnym pokusom. Wreszcie udało im się unieść go przy pomocy nimfy Menaki. Wiswamitra się poddał. lecz tylko czas krótki. Prędko się opamiętał, pokonał swoje namiętności i stał się silniejszym od całej armji bogów. Ponieważ ci jednak uporczywie wzbraniali się uznać go równym bóstwu, powołując się na jego chwilowy upadek zaczął Wiswamitra tworzyć nowych bogów i nowe niebiosa. Stworzył już kilka gwiazd, gdy bogi wreszcie przestraszyły się i zawarły z nim pokój.

Epoka walki człowieka z zawistnymi bogami była wielką i świetną w umysłowem życiu starożytnych Indyj. Ci ludzie, wierzący w to, iż siłą zrzeczenia się dóbr ziemskich mogą stać się podobnymi bóstwu, stali się autorami filozoficznych systemów, wielkich epopei, wielu matematycznych, medycznych i gramatycznych utworów; przeczuwali już nawet krążenie ziemi naokoło słońca. Jednem słowem — poczęści w praktyce stwierdzili teorję, — zbliżyli się do nieśmiertelności i wywalczyli sobie poczestne miejsce w Panteonie wielkich umysłów ludzkości.

Idea zawiści bogów w stosunku z człowiekiem i nie jest wcale obcą i innym narodom.

Prometeusz był również przykutym do skały, za swoją zbyt wielką miłość dla ludzi.

Bogowie patrzyli na niego, jak na zdrajcę, gdyż dał on śmiertelnym dary, które znacznie zmniejszyły przepaść pomiędzy nimi a bogami.

— Słuchajcie — mówi on do Oceanid — jak smutnym był los śmiertelnych i jak te głupstoty dzięki mnie otrzymały rozum i mądrość. Przedtem oni patrzyli a nie widzieli, słyszeli, lecz nie rozumieli. Żyli jak cienie, mieszając pojęcia o rzeczy. Działali tylko przypadkowo, bez rozmysłu.

Prometeusz dał im rozsądek, nauki i sztuki, a Jowisz przykuł nieproszonego dobroczyńcę do skały.

Wszystkie te starożytne legendy mają jeden rys wspólny. Nie samo człowieczeństwo zatrzymuje się na drodze doskonałości. lecz niezmiennie zjawia się siła wyższa, która wstrzymuje człowieka z obawy, aby rozpędziwszy się, nie dotarł tam, gdzie kończy się człowieczeństwo, a zaczyna bóstwo. Dziwną jest ta wiara starożytnych w niepowstrzymaną siłę ludzkiego ducha, w nieskończoną zdolność do samoudoskonalenia się.

Oryginalność ingyjskiego poglądu na walkę człowieka z bóstwem zawiera się w specjalnym charakterze indyjskiej taktyki. Nie siłą i przebiegłością odnosi Hindus zwycięstwo nad wrogiemi dlań siłami niebieskiemi, lecz czynami szlachetnemi, umartwieniem swego ciała i zwycięstwem nad swemi ludzkiemi namiętnościami. Ciało uważa on za wroga duszy i wiedzie z niem morderczą walkę, osiągając zadziwiające rezultaty. Książki podróżników przepełnione są opisami dziwnych i nieprawdopodobnych katuszy, jakim się teraz jeszcze dobrowolnie poddają indyjscy asceci. Jedni np przykuwają się na wcale życie do drzewa, drudzy przyjmują jakiekolwiekbądź niewygodne położenie, jak np. stanie z wyciągniętymi do góry rękami i pozostają w niem tak długo, dopóki nie stracą możność zmiany położenia. Inni kładą się na żelazne łoże nabite ostremi gwoździami. W Benaresie żył asceta, który na takiem łóżku przeleżał trzydzieści pięć lat; inni znów zaciskają na zawsze dłonie, tak, że paznokcie wgryzają się w ciało i przechodzą przez wierzch dłoni. Wiarygodni świadkowie opowiadają o ludziach, którzy po szyję zakopują się w ziemię i patrzą w słońce aż do zupełnej ślepoty, o podróżnikach, którzy przeszli setki mil, kręcąc się na około siebie. W jednym starożytnym dramacie przedstawiony jest asceta, który tak długo stał na jednem miejscu bez ruchu. iż mrówki utworzyły dokoła niego mrowisko, a ptaki uwiły gniazdo na jego głowie. Ci, którzy znają Indję, nie widzą w tych opowiadaniach żadnej przesady.

Pewien podróżnik, którego prawdomowność nie ulega najmniejszej wątpliwości, spotkał raz Hindusa leżącego na ziemi i patrzącego w słońce. Gdy wrócił po latach szesnastu, zastał go w tem samem położeniu i w tem samem miejscu.

Prawo Manu zaleca, jako szczególnie korzystny czyn, przypiekanie ciała przez trzy miesiące w roku z zachowaniem pewnych obrzędów. Jakiś Anglik był niedawno świadkiem podobnego umartwienia.

Było to latem w czasie największych upałów. Na niewielkim kwadratowym placyku, nie zakrytym od działania palących promieni słońca, płonęły stosy wielkie drzewa. Między nimi stał na jednej nodze człowiek, zwrócony twarzą do słońca. Po niejakimś czasie stanął na głowie, podjąwszy nogi w górę i w takiej pozycji był przez trzy godziny, poczem usiadł, podwinąwszy nogi pod siebie. Zmieniał pozycję tylko dla tego aby dołożyć drzewa do stosu. Wieczorem mówił Anglik, człowiek ten był chyba zupełnie upieczonym.

To samo prawo Manu przepisują osobom formułę postu, tak zw. księżycowego, dla tego, że zwiększa się on lub zmniejsza stosownie do odmian księżyca. W pierwszy dzień pełni, poszczący zjada piętnaście łyżek ryżu, na drugi dzień czternaście, potem trzynaście i t. d. co dzień o łyżkę mniej, aż do nowiu, dopóki asceta już nic nie je. Potem zaczyna się to samo, tylko w odwrotnym porządku, jedna łyżka, dwie — aż do piętnastu.

(Dokończenie nastąpi.)

Prezydent Stanów Zjednoczonych.

Ostatni numer czasopisma amerykańskiego „Harper's Magasine“, zawiera ciekawy artykuł p. t. „Prezydent u siebie“.

Zajmujące to studjum ogłoszone zostało drukiem jednocześnie w New Yorku i Londynie, na kilka dni przed tragiczną śmiercią Carnota, posiada więc z tego względu pewną cechę aktualności W chwili, gdy nowy prezydent rzeczy pospolitej francuskiej przesiedlił się świeżo do pałacu Elizejskiego, interesującemi mogą być szczegóły, jak jego kolega żyje z tamtej strony oceanu.

Chateaubriand podczas swej podróży po Ameryce był niezmiernie zdziwiony pierwszem spotkaniem z Waszyngtonem. Pod wpływem wspomnień, jakie pozostawiła we Francji pełna patrjarchalności dobroduszność Franklina, autor „Renego“ spodziewał się znaleść starożytną prostotę Fabrycjuszów i Cyntynatów wskrzeszoną z tamtej strony oceanu i doznał całkowitego zawodu. Zamiast wejść pod dach chaty jednego z tych dawnych konsulów rzymskich, którzy porzuciwszy urząd powracali do pługa, znakomity pisarz francuski został przyjęty na dworze wielkiego pana starej daty. Założyciel rzeczypospolitej amerykańskiej żył jak książę panujący.

Jefferson skasował wszyskie przepisy etykiety, zaprowadzony przez swego sławnego poprzednika i zwyczaje w Białym Domu do większej harmonji z instytucjami i usposobieniem ludności.

Dzięki mu, ścisła prostota stała się obowiazująca w Białym Domu, a następcy Jeffersona po większej części generałowie skromni, którzy pokończyli po lat 60, nie mieli ochoty naginać się do ceremoniału, bez którego obywali się przez całe życie i zachowali z etykiety tylko to, co ich broniło przed natarczywością reporterów.

Dom Biały jest dziś do pewnego stopnia więzieniem wybornie strzeżonem. Naczelnik państwa nie może wyjść ze swej rezydencji, żeby go w tej chwili nie otoczył legion reporterów, uzbrojonych w ołówki, i fotografów zaopatrzonych w aparaty błyskawiczne, utrwalające na kliszy w mgnieniu oka osobę i otoczenie prezydenta Generał Grant, którego krewki temparament nie mógł pogodzić się z systemem odosobnienia, stosowanym przez poprzedników, zaznaczył porządek swych rządów postępkiem pełnym odwagi. Nazajutrz po instalacji w Białym Domu wyszedł na przechadzkę po ulicy Pensylwania. Ten mężny czyn stał się głośniejszym od wszystkich bitew, które wygrał dowódca armji północnej. Następnych dni bohater z czasów wojny o niepodległość nie uląkł się o tej samej porze wyjść na spacer, a reporterzy dzienników waszyngtońskich tak się w końu przyzwyczaili do oglądania prezydenta każdego południa z cygarem w ustach i w kapeluszu naciśniętym na oczy, iż zaprzestali o tych wycieczkach pisać wiadomości, które musiałyby się pojawiać z regularności chronometra.

Gdyby Cleveland pozwolił sobie dziś zrobić dziesięć kroków na ulicy Pensylwania, wiadomość o tym wypadku byłaby natychmiast rozesłana do wszystkich dzienników za pośrednictwem telegrafu i tegoż wieczora jeszcze czytanoby o tem na wszystkich krańcach Stanów Zjednoczonych. Nie odważywszy się, jak jeden z jego sławnych poprzedników skorzystać na wstępie swych rządów z prawa spacerowania, prezydent amerykański rad nie rad z własnej winy musi prowadzić życie zamknięte.

Ten brak brak swobody jest tem cięższy, ile że dom biały wydaje się więzieniem o szklanych ścianach. Jeżeli prezydenta bolą zęby, wiadomość o tem w mgnieniu oka krąży po mieście. Menu obiadu prezydenta jest codziennie wiadome wszystkim obywatelom. Stół przy którym zasiada naczelnik państwa, by obiadować z rodziną, i wysokie krzesło, przeznaczone dla najmłodszego dziecka, które pomimo młodego wieku zasiada ze starszymi, fotografują illustracje amerykańskie. Nawet mamka przedstawiana tam bywa w chwili pełnienia swych obowiązków.

Dozór, jaki amerykanie rozciągają nad gośmi, lub mówiąc lepiej, więźniami Białego Domu, nie ma w sobie nic wrogiego. Może swego czasu jankesi starej szkoły dawali folgę złemu humorowi, głosząc, że jenerał Garfield, którego koniec miał być tak tragicznym, chce podnieść literaturę i sztukę, że Arthur zaprasza na wieczory do prezydentnry tylko osoby, których zachowanie się

obejście nie pozostawia nic do życzenia. W gruncie rzeczy pierwszemu ani się śniło zostać Medycjuszem, drugi zaś dalekim był od wprowadzenia rygoru etykiety Europojskiej.

Amerykanie przedewszystkiem wymagają od prezydenta jednej rzeczy, mianowicie, by doszedłszy do władzy, nie zmieniał nic w trybie życia, który prowadził poprzednio. Jeden z prezydentów, którzy spędzili życie na wsi, powołany na zaszczytne stanowisko, nie pozbył się swych przyzwyczajeń i co wieczór w salonie Białego Domu wypróżniał ze starymi przyjaciółmi kufle cydru, podczas, gdy żona robiła pończochę, pilnując kartofli, które gotowały się przy kominku.

Prezydent, pijący cydr ze starymi przyjaciółmi i prezydentowa, która robi pończoch i gotuje kartofle na marmurowym kominku we wspaniałych salonach Domu Białego, gdzie naczelnik państwa przyjmuje ambasadorów obcych mocarst! Tego rodzaju widok wywołały zdziwienie nawet w najdemokratniejszym kraju w Europie, lecz daremnie starano się ośmieszyć tą patrjarchalność obyczajów amerykanom, których opowieść o gotowanych kartoflach wcale nie raziła.

Jedni tylko dyplomaci nie chcieli oddać się na łaskę i niełaskę etykiety Białego Dworu. Jefferson o mało nie miał wojny z anglikami za to, że nie zachował przepisów ceremoniału, przyjmując ambasadora króla Wielkiej Brytanii i naraził się na nieporozumienia dość zawikłane z przedstawicielami mocarstw zagranicznych, ponieważ przy obiadach urzędowych opierał się przy wyborze damy wodług swej fantazji i nie chciał kierować się w tym względzie obowiązującemi przepisami etykiety.

Dziś sekretarze Białego domu starają się uprzedzić tego rodzaju wypadki i przepisy hierarchiczne bywają dość ściśle przestrzegane na przyjęciach, które prezydent od czasu do czasu do czasu urządza dla przedstawicieli świata dyplomatycznego, lecz nie trzebaby powracać do epoki dawno ubiegłej. by przypomnieć sobie zajścia bardzo cierpkie, wynikłe z powodu, iż prezydent, lub jeden z jego ministrów przyjmował ambasadorów obcych mocarstw w kamizelce.

Jedno z tych prawideł etykiety zaprowadzonej przez Waszyngtona zachowało do tej pory całą siłę. Oto prezydent rzeczypospolitej nie udaje się z wizytami na zaproszenia osób prywatnych. Tylko ministrowie, członkowie najwyższych sądów i mała liczba wpływowych senatorów Białego Domu z małemi wyjątkami należą do świata urzędowego.

Potomkowie plantatorów z południa, stojący obecnie na czele eleganckiego towarzystwa w Waszyngtonie, ukazali się w salonach prezydentury nazajutrz po wyborze Clevelanda, który powołany został na najwyższe stanowisko w kraju dzięki jednomyślnemu głosowaniu dawnych stanów skonfederowanych. Ten zapał w ostatnich czasach osłabł cokolwiek.

Gdy prezydent Stanów Zjednoczonych po raz pierwszy odwiedził Chicago, tłum grubiańsko powitał go następującą apostrofą: „Wyłaź ze swej klatki, staruszku, i ściskaj nam ręce!“ W siedm lat później stolica Wielkich Jezior urządziła prezydentowi przyjęcie mniej familiarne, ale najbardziej entuzjastyczne okrzyki nie powróciły mu gustu do podróżowania.

Gdy prezydent rzeczypospolitej pragnie na chwilę wymknąć się ze swego więzienia, wsiada na pokład parostatku „Delphin“. Jest to jacht ministra marynarki; powinien on być używany wyłącznie do przewozu depesz, lecz w rzeczywistości pozostaje do dyspozycji naczelnika państwa.

Starzy republikanie z północy, którzy, gdy chodzi o z sady, są nieugięci, domagaja się skasowania statku, zwanego z pogardą „jachtem królewskim“. A jednak przyjemność żeglowania na „Delfinie“ jest jedynem zadośćuczynieniem, jakie obyczaje amerykańskie dają prezydentowi za pracę, kłopoty i poświęcenia. Dzięki temu statkowi Cleveland od czasu do czasu może wynaleść sobie ustronne wybrzeże, na którem przez nikogo nie niepokojony, łapie ryby na wędkę.

Stowarzyszenie fałszerzy.

Związek fałszerzy w tych czasach doszedł do całej pełni rozwoju swego, funkcjonując na zasadach stowarzyszenia anonimowego. Ludzie, poświęcający zdolności tego rodzaju operacjom, nie mogą się znać wzajemnie. Pod tym tylko warunkiem cały mechanizm funkcjonuje dokładnie i kompromitujące zeznania najmniej zagrażają uczestnikom, gdy wydarzy się nieszczęście.

Kapitalista dostarczający funduszów, nie powinien znać nazwiska współpracownika, wprawiającego się w sztukę naśladowania cudzych podpisów. Z kolei grawer-kaligraf nie potrzebuje wiedzieć o egzystencji urzędnika, który przedstawi czek do wypłaty i który może być pewnym, iż pójdzie do kozy, jeżeli go złapać zdołają. Wreszcie ten pan nie powinien wątpić ani na chwilę, iż tajemniczy dozorca jak cień dąży jego śladami, by w porę schwycić go, jeżeliby chciał drapnąć z funduszami, z rabowanemi, w instytucji kredytowej.

Dzięki tym zbiorowym środkom ostrożności gdy jeden ze stowarzyszonych wpadnie w ręce sprawiedliwości, nie może wydawać wspólników, których nie zna nawet z nazwiska, a kapitalista zamieszany do tak niebezpiecznej kompanji, jest pewnym, iż współpracownicy nie zorganizują entrepryzy szantażu, którego mógłby paść ofiarą.

Pośrednik bywa zarazem reżyserem trupy.

Członkowie stowarzyszenia znają tylko jego. On zbiera personel, rozdaje role i jest jedyną osobą nadającą spójność organizacji. Dzięki temu ludzie, którzy pod żadnym pozorem nie powinni znać się i utrzymywać z sobą stosunków, pracują z pożytkiem dla wspólnego dobra.

Pośrednik, jeżeli chce posiąść zaufanie członków stowarzyszenia, powinien spędzić kilka lat swego żywota w więzieniu. Tylko taka przeszłość daje kapitaliście gwarancję nie funduszów wprawdzie, lecz bezpieczeństwa osobistego, bo możliwą katastrofę zawsze należy mieć na widoku. Spekulanci, angażowani po podobnych przedsiębiorstw, wiedzą doskonale, iż świadectwa złożone sędziom przysięgłym przez człowieka skazywanego kiedyś, mają inną wartość niż świadectwa człowieka z uczciwąprzeszłością. Ze swej strony indywidua, podejmujące się zgubnej misji przedstawienia w kasie banku sfałszowanego czeku, nigdy nie zgodziły się na zawiązanie stosunku z człowiekiem „z przeszłością nieznaną“. Jeżeli pośrednik, proponujący jakąś zyskowną operację, nie należy do starych towarzyszy więziennych, których charakter i usposobienie mieli sposobność poznać w rozmaitych okolicznościach, wówczas węszą zasadzkę i zrywają zazwyczaj układy.

Kapitalista, dostarczające stowarzyszeniu środków pieniężnych, nie należy do miljonerów, posiada jednak pewne fundusze. Jest to mały spekulant bez skrupułów, dla którego każdy sposób zrobienia fortuny jest dobry.

W stowarzyszeniach, które opisuje p. Pinkerton w czasopiśmie amerykańskiem „Nord American Review,“ osoby, dostarczający pieniędzy bywają zarazem autorami planów operacji. Korzystając ze skromnego stanowiska, jakie zajmują w światku kupieckim, mogą zaopatrywać się w podpisy, przeznaczone do fałszowania, oraz wzory czeków, potrzebne do zawikłanych operacji. Mając te papiery w rękach, finansista udziela tajemniczego „rendez-vous“ pośrednikowi który otrzymuje od niego instrukcje.

Po utrzymaniu sumy potrzebnej na pierwsze wydatki, pośrednik rozpoczyna kampanię od wizyty w skromnym sklepiku, gdzie nieznany artysta pracuje na polu grawerstwa.

Fałszerz wykształcony w swym zawodzie musi być uczonym i artystą zarazem. Zaledwie chemik wywabi atrament, do dzieła zabiera się rytownik i przewraca najdelikatniejsze linie, popsute przez atrament w winiecie, a czyni to z takim talentem, iż najwprawniejsze oko nie może dostrzedz miejsca, zamalowanego pędzlem artysty. Ta mrówcza pracowitość i dokładność wykończenia przyniosłaby zaszczyt niejednemu mistrzowi starej szkoły holenderskiej.

W niektóych instytucjach finasowych zaprowadzono zwyczaj wykłuwania cyfr sumy, na jaką przekaz zestał wystawony.

Wynalazcom tej metody zdawało się, iż fałszerze, wywabiwszy pismo atramentowe, nie będę w stanie poradzić sobie z liczbami wykłutemi. Było to złudzenie. Pomysłowi amerykanie wynaleźli sposób wypełniania dziur papierem, poczem tak zreparowany blankiet poddają wielkiemu cieśnieniu w gorącej atmosferze.

Walka, tocząca się obecnie w Ameryce pomiędzy fałszerzami, wyglada na pojedynek bez rezultatu, w każdym razie pory do tej przewaga jest po stronie napatników.

Gdy z pomocą całej serji bardzo zręcznych operacyj chemik stowarzyszenia podniósł do piętnastu lub dwudziestu tysięcy fr. sumę czeku, wystawionego na 100 fr. cenny papier wraca do rąk pośrednika, który powierza mu z kolei jednego ze wspólników, mającego misję inkasowania sumy na rachunek stowarzyszonych.

Uczciwość tego recydywisty z profesji, który stał się przygodnym inkasentem, pozostawia często wiele do życzenia. Człowiek, który miewał zatargi ze sprawiedliwością, nie zawsze zdoła się oprzeć pokusie. Lepiej, a co ważniejsza korzystniej w tym wypadku zachowywać przezorność, niż później karać. Najlepszym sposobem ochronienia inkasenta przed niebezpiecznemi pokusami, jest — nie spuszczać go z oka. Więc pośrednik towarzyszy mu często do kasy banku czasami posyła jednego ze wspólników, a spełniający takową funkcję w gwarze specjalnej nazywa się „cieniem“.

Ostrożności te mają na celu nie samą tylko opiekę nad posłem, działającym w delikatnej misji, lecz i zaalarmowanie wszystkich stowarzyszonych, jeżeli wypadki zaczną przybierać zły obrót.

Zdarza się czasami, że impertynencki kasjer zamiast wypłacić czek, każe aresztować oddawcę. Nie tracąc chwili czasu, cień oznajmia o tem pośrednikowi, który ze swej strony daje znać wszystkim wspólnikom. Drugi i trzeci wysłaniec, którzy mieli przedstawić fałszywe czeki, otrzymują ostrzeżenia, żeby wynosili się z miasta. Kapitalista i rysownik usuwają ze swych mieszkań wszystko, co mogłoby wzbudzić podejrzenie.

Nie znaczy to jednak bynajmiej, iż stowarzyszenie rozwiązało się. Pośrednik, rozesławszy wezwania do ucieczki, naznacza nowe miejsce zebrania w innej miejcowości Stanów Zjednoczonych. Po upływie miesiąca lub dwóch ci ludzie, nieznający się wcale ze sobą, zjeżdżają się w dniu oznaczonym do jednego miasta i, nie komunikując się z sobą, zaczynają pracować we wspólnym celu.